

HELENA SOBAŃSKA.

.....

TACY, KTÓRZY WIDZĄ

OBRAZY DRAMATYCZNE.



Sk.

KIJOW, 1917.
LEON IDZIKOWSKI.

OSOBY:

ONA.

MATKA.

ON.



Klasztorna cela na użytek świecki przekształcona. Krzyżowe sklepienie, białe tynkowane ściany, podłoga kamienna.

Po lewej stronie — marmurowy blok zamiast stołu, na nim skrzynka — relikwiarz, mały siedmioramienny świecznik i rozrzucone w nieładzie pendzle i farby. Obok sztalugi z zasłoniętym obrazem. Na ścianie jakieś malowidło prawie całą jej szerokość zajmujące.

Między sztalugami a ścianą, w głębi — małe drzwiczki do sąsiedniej celi prowadzące. Drzwiczki te przez cały czas pozostają uchylone.

Na prawo ku przodowi: klęcznik, mający z każdej strony po świeczniku mozaikowym, pięknej Kosmasowej roboty. Na klęczniku mszał oprawny w kość słoniową, misternie rzeźbioną. Na ścianie zczerniały, drewniany krzyż, z wymalowanym nań Chrystusem, według Cimabue.

Z tejże strony ku głębi — wązki drewniany fotel, jakby z kościelnych stallów wyjęty, oraz parę stołków.

Przy ścianie w głębi, na prawo — skrzynia, zastępująca ławkę.

W górze, nad nią, duża półka założona księgami.

W środku ściany — czteroskrzydłowe, szklane drzwi do połowy rozsunięte. Po lewej — waza czy chrzcielnica marmurowa, rzeźbiona, i stare malowidła bez ram o ścianę oparte, lub na podłogę niedbale rzucone.

Drzwi prowadzą na pergolę, skąd widok na morze, w danej chwili burzące się i mętne, a którego szum trwa beustannie, to słabnąc, to się wzmagając.

Dzień chmurny. W celi mroczno.

ONA. (Złotowłosa, blada, wiotka. Wdzięk i czułość kwiatu. Lekka biała szata opływa ją miękkimi fałdami. Stoi przy szklanych drzwiach oparta o framugę, duszą jak zwykle od rzeczywistości oderwana, myślą w dal jasnowidzących przeczuć wybiegająca).

MATKA. (Siedzi z prawej strony na fotelu, dłonie symetrycznie na poręczach opartszy. Hieratyczna sztywność w jej ciemnej postaci, zlewającej się niemal z również ciemnym tłem drewnianego fotelu, i tylko zmartwiała twarz, srebrem włosów okolona, i ciężkie w obezsileniu swem ręce, jaśnieją bladością pożółkłego ze starości marmuru. Słychać wzmagający się szum morza).

ONA. Jak to morze się skarży! Jak gdyby w głębi jego ludzkie serce biło. (Dłuższe milczenie. Szum morza słabnie, a z poza uchylonych do sąsiedniej celi drzwi-czek, w tę ciszę wpada dzwoniący kryształowo, życiem i weselem rozwibrowany głos kobiety).

MATKA. (mówiąc porusza tylko ustami, zresztą postać cała trwa w ciągłym skamienieniu). Jeszcze nie poszła?

ONA (bezdźwięcznie) Nie.

MATKA. Czy dawno tu przychodzi?

ONA. Od czasu, gdy rozpoczął swój nowy obraz.

MATKA. Nie widziałam jej nigdy zblizka. Zapewne bardzo piękna?

ONA. Tak... nie wiem zresztą. Patrząc na nią, widzę tylko jej oczy. Takie dziwne oczy! Iskrzą się jak brylanty, a zimne są — jak stal. *(Znowu milczenie. Morze szumi nie tłumiąc jednak dwóch głosów z celi, skąd słychać obecnie szybszą ich wymianę, i że głośniejsze są i gorętsze).*

ONA. *(gorączkowo wyczekująca, jest jak zbyt mocno naciągnięta struna. Nie patrzy jednak w tamtą stronę i nie słucha. Niepokój jej zdradza się tylko w bezprzedmiotowym błędzeniu palców wśród fałdów sukni i w surowem ściągnięciu brwi, jak w nadmiarze bólu i tak trwa, aż rozmowa w celi zupełnie ścichnie — wówczas ona powolnym ruchem obraca głowę i rozgląda się dokoła).* Zamilkli...

MATKA. Przed chwilą niepokoiło ciebie, że mówili tak żywo!

ONA. Przed chwilą niepokoiło mnie to, co oni mieli jeszcze do powiedzenia... Teraz powiedzieli sobie już wszystko.

MATKA. Uspokój się dziecko. To są twoje przywidzenia. Patrz — nie ukrywają się wcale. Widać ich stąd, czyż nie wydają się zupełnie spokojni?

ONA. Nie, matko, ty ich nie widzisz?

MATKA. Nie rozumiem! drzwi przecie są otwarte.

ONA. *(ze smutnym uśmiechem)* Drzwi są nie otwarte, lecz tylko uchylone.

MATKA. Ale dlaczego ci się to majaczyć zaczęło? Czy spostrzegłeś w nim zmianę?

ONA. *(pociera ręką czoło jakby przypominając)*. Zmianę?... właściwie nie, On tylko znieść nie może mojego wzroku.

MATKA. To ci się chyba wydaje.

ONA. Ty nie wiesz, jak on patrzył dawniej .. *(Z wybuchem)* Jaka ja teraz będę sama! *(Hieratycznie sztywna postać matki załamuje się w swych równych liniach, plecy odrywają się od oparcia, ręce wyciągają ku córce, która tego ruchu nie spostrzegając, zapatrzona przed siebie, mówi dalej)*.

ONA. Bywało nieraz tam, u nas w długie zimowe wieczory, gdy zostawaliśmy sami... W takie wieczory, gdy wicher śpiewa za-

łośnie, a mroźna śnieżycą kościstą dłonią bije o zamglone szyby, on siadywał u stóp moich i pochyliwszy głowę do moich kolan, patrzył mi w oczy. I snuła się nieprzerwana, cudowna przedza naszego kochania, która wiosennie rozpromieniała wszystko dokoła. *(po chwili)* Cudowna przedza naszego wielkiego kochania, a które miało być jedyne.

MATKA. Dość tej męki! Chodźmy stąd.

ONA. Nie mogę — musiałabym przejść koło niej. Widzisz przecie, że są tylko te jedne drzwi.

MATKA. Więc wejdę tam na chwilę pod byle pozorem i pozostawię je otwarte.

ONA. Nie... nie... niech będą tak, jak są — uchylone — *(ciszej)* aż do chwili, gdy się zamkną zupełnie.

MATKA. Musimy stąd odejść. Niepodobna tak siebie męczyć.

ONA. *(Nagle opanowana, bardzo spokojnie)*. Nie, ja chcę wiedzieć i będę wiedzieć — dziś. *(Dłuższe milczenie. Z sąsiedniej celi słychać równomierne męskie kroki. Rozmowa trwa dalej, ale jest jakby spokojniejsza czy przyciszona)*.

ONĄ. Czytałam kiedyś dziwną opowieść o dawnych bardzo dziejach, kiedy człowiecza dusza, jak ten kryształ była, tak, że uczucie każde i myśl każda ludzka widzialne się zdawały, jak żwir na dnie strumienia.

MATKĄ. To musiało być straszne.

ONĄ. Tak, to było straszne. Bo wszystko co zjednoczyć pragnął człowiek — gmach każdy, który wznosił, żeby się w nim przed nędzą życia schronić, opora, której szukał, iżby swoją bezsilność wspierać — wszystko zwracało się przeciw niemu, i większą tylko czyniło jego niedolę. Mąż zabijał niewiastę, gdyż występne pragnienia, myśli jej ku innemu wiodły. Władzca tępił poddanych, bo czytał w ich duszach, że każdy czyha tylko, by osłabła siła, przed którą kark zgiąć musi. I w końcu ludzie, nie mogąc żyć w zespole, stronić jęli od siebie, i odgradzać się wzajem nioprzebytymi zapory. Aż się stali wreszcie, jak te zwierzęta zdziczałe, czekający jedynie, kiedy ostatnia wybije dlań godzina. I tylko bielejące kości — bo nikt nikogo nie grzebał — jęły znaczyć miejsca, kędy który z tych potępionych żywota swego dokonał.

MATKA. (Czyni ruch, jakby chciała przerwać opowiadanie).

ONA. Ale Bóg wreszcie ulitował się nad nimi i posłał anioła, który z pękiem kwiecica obchodził ciemne pieczary i niedostępne szczyty, kędy się ukrywali siebie chroniący, a gdy sen obezwładniał ich nieustanną czujność—sypał kwietne płatki na umęczone widzeniem prawdy oczy... (Po krótkiej pauzie). Aniołem tym była — litość, zaś kwiecice — kłamstwem się zwało. I od owej chwili, ciemna zasłona spowiła dusze ludzkie. Przestali wszyscy przenikać siebie wzajem, nastąpił spokój. Brat ufnie wsparł się na ramieniu godzącego na cześć jego brata... i popłynęło życie.

MATKA. Życie—według ciebie na obłudzie oparte i omijanie się wzajemne mające na celu.

ONA. Nie – życie, dzięki kłamstwu, w jednolitą całość zespolone, obłudy świętością wyniesione na wyżyny jakowegoś misterium, w nieprzeniknionych tajnikach ludzkiego ducha wiekuiste trwanie znajdujące.

MATKA. Życie to rzeczywistość. Trzeba się godzić z tem co jest, a pomiędzy kłam-

liwym postępkiem i ukrywaniem uczuć, jest bardzo wielka różnica.

ONA. Dla mnie tej różnicy nie ma.

MATKA. Bo ty nie patrzysz trzeźwo, a błądasz się gdzieś myślą i żyjesz jak we śnie.

ONA. A może nie ja się błąkam. I kto mi powie, gdzie kończy się rzeczywistość, a marzenie senne zaczyna!

MATKA. Wszak to takie proste.

ONA. Nie dla mnie... lecz nie dopowiedziałam ci swej baśni... Szedł więc anioł litości i wonne płatki sypał na umęczone widzeniem prawdy oczy, ale byli tacy, których ominął w pośpiechu i dla nich wszystko pozostało jak dawniej. Uczucie każde i myśl każda ludzka, widzialne się stawały, jak żwir na dnie strumienia. *(Przerywa na chwilę opowiadanie, poczem mówi dalej przyciszonym, pełnym lęku głosem).* Duch jednego z takich zapomnianych, z tych wyklętych, dla których nie masz miejsca przy biesiadnym stole – odżył oto we mnie...

MATKA. I gdzieś ty wyczytała ową bajkę?

ONA. To była jakaś olbrzymia księga,

której moje ręce unieść nie były w stanie
(wyciąga przed siebie jak alabaster przejrzyste,
delikatne dłonie). A litery były złożone, i takie
wielkie, że kilka słów tylko na każdej stronie
się mieściło.

MATKA W jakim języku pisana była
ta księga?

ONA. To nie była nasza mowa.

MATKA. I tyś ją rozumiała?

ONA. Wtedy rozumiałam każde słowo,
(siląc się przypomnieć) a może... może... nie...
nie pamiętam gdzie to było... może w jakimś
innym bycie!

MATKA. Dziecko! i ty w to wszystko
wierzysz.

ONA. Wszak i ty — wierzysz. Wierzyć
we wszystko można, tylko udźwignąć nie-
podobna wszystkiego. (Powolnym ruchem
wyciągając przed siebie ręce). Takimi oto
dłońmi unieść prawdę życia! (Chwila mil-
czenia). (Stając się naraz bardzo niespokoj-
ną). Czyż jeszcze nic nie widzisz?

MATKA. (trwożnie) Co się stało?

ONA. (wyczekująca, znowu nieruchomieje
w dal nieuchwytnych widzeń zapatrzona.

MATKA. (uspokajająco i uspokojona) Stoi

pochylony nad stołem — przerzuca jakąś książkę.

ONĄ. *(w tem samem zapatrzeniu)*. A teraz nie patrzy w książkę, tylko na nią...

MATKA. Tak. Teraz wzrok przeniósł na nią...

ONĄ. Nie spuszcza z niej oczu.,

MATKA. Nie spuszcza z niej oczu.

ONĄ. A oczy jego... Jak on na nią patrzy!

MATKA. Wyrazu rozróżnić nie sposób.

ONĄ. Ale ja wiem, *(ciszej)* takie miękkie, pieszczące spojrzenie, które odbiera władzę...

MATKA. Wszak to mogą być tylko przywidzenia. On ciebie kocha.

ONĄ. Nie — on mnie już nie kocha.

MATKA. To są urojenia. Burza przeminie i wszystko się ułoży.

ONĄ. *(trwożnie — pytająco)*. Wszystko się ułoży... *(Przymyka oczy z wyrazem nieskończonego znużenia)* Tak byłoby dobrze móżdż nie widzieć nic i dać się prowadzić za rękę jak dziecko małe... *(Po chwili z wyciągniętymi przed się rękoma)* O, matko! daj ślepotę oczom moim. *(Wstrząsa się naraz)* Teraz... teraz... patrz! *(Pierwszy promień*

słońca przedarłszy się przez chmury oblegające dotychczas niebo, uderza do celi i błąka się migotliwy, drażniący, tajemniczość półcieni rozproszyc żądny).

MATKA. (*Przystania dłonią oczy*). Światło mnie oślepia — nie widzę dobrze. (*Po chwili*) Ona wstała — widocznie zamierza odejść.

ONA. (*Zda się nieobecna, mówi jakby coraz się oddalała*). Podała mu rękę... a on jej dłoń przytrzymuje w swojej.

MATKA. (*Powtarza za nią*). A on jej dłoń przytrzymuje w swojej.

ONA. Powoli, bardzo powoli podnosi do ust.

MATKA. Powoli podnosi do ust.

ONA. (*Przyciszonym, jakby powiększającą się dala stłumionym głosem*) Przywarł do jej ręki ustami.

MATKA. Przywarł do jej ręki ustami.

ONA. (*Z tłumionym wybuchem*) A usta jego takie gorące!... (*Długa cisza. Słychać lekkie kroki, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. W tejże chwili słoneczny blask uderza snopem promieni tak, że światło całe skupia się na małych drzwiczkach sąsiedniej celi*).

MATKA. (*Cicho*) Już poszła.

ONA. (*Ledwo dostykalnym szeptem*). Teraz ona mi go zabrała. (*Po pewnym czasie drzwi się otwierają. W progu staje on. Chwilę zawahał się, poczem zamknąwszy drzwi szczelnie za sobą—wchodzi. Twarz bardzo blada, brwi ściągnięte. Patrzy zrazu — jakby nie widząc, jak ktoś co z mroku nagle wyszedłszy blaskiem zostaje olśniony. Robi parę kroków i staje odczuwszy jej spojrzenie na sobie. Ten wzrok trwożny, pełen bezbrzeżnej rozpaczyny, zda się bezsilny, zmiłowania błagający, a widzący wszystko.—Oczy ich spotykają się, zatapiają w sobie, mocują się ze sobą, jedno drugiemu tajnie swego ducha wydrzeć nawzajem usiłujący i wreszcie on zwolna ciężko opuszcza głowę*).

K O N I E C.

W OGRODZIE.

OSOBY:

GOSPODARZ.

GOŚĆ.

SŁUŻĄCA.



Bogata, południowa roślinność. Palmy, kwitnące pomarańcze, kamelie w malownicze grupy połączone i wabiącymi zaciszą ścieżynami poprzecinane.

Od strony prawej, w głąb na terasę wiodąca, szeroka aleja, po obu stronach której — gliniane pękate amfory z kwiatami lub roślinami rzadkiej piękności. W głębi, obszerna, w próżnię wysunięta terasa, marmurowymi płytami wyłożona, z niewysokim, również marmurowym obmurowaniem, które ku środkowi terasy się przerywając, zostaje zastąpione przez lekką balustradę z kręconych słupków złożoną. Wzdłuż obmurowania — w jedną z niem całość spojone — marmurowe ławki. Obok ławki po prawej — krzew glicynii, pnący się dokoła wysokiego, bezlistnego drzewa i bujną kaskadą liljowych kiści ziemi niemal sięgający. Przed ławką stolik z zastawą do kawy i przyborami do palenia. Po lewej stronie ogrodu, czworokątna, kilkupiętrowa wieża, widzialna z ukosa połową jednej ze stron, a całą szerokością — drugiej, do tej ostatniej przylega, stanowiący jej przedłużenie — mur, co ukosem, na lewo w głąb idąc, gubi się pośród zieleni.

Wzdłuż najbliższej części muru — kilka cyprysów, a między nimi dziwnie pokręcone cielska, potwornie rozrosłych, okrągło-listnych kaktusów, miejscami poza ogrodzenie wypęłzających. U wejścia do wieży, trzon złamanej kolumny w ziemię wciśnięty, z postawionym nań, odbitym ongi kapitelem. Na ziemi obok różne architektoniczne szczątki: gzymsy, kapitele, płaskorzeźby, na stos zwalone, trawą porośłe i wyraźnie od lat nie ruszane.

Okno na samym szczycie wieży będące jest oświetlone, co zresztą przy blasku dziennego światła, chwilami tylko zauważyć się daje, mianowicie wówczas, gdy światło migotliwe i blade, rozpala się naraz, rzucając odblask, jakby wybuchającego wielkim płomieniem ogniska.

Wieża—czerniejąca obnażonym do szczytu, wichrem i deszczem w ciągu wieków spalynowanym kamieniem, w jaśniejszych plamach, widocznych przy obmurowaniu ostrołukowych drzwi i okien, ujawnia jakoweś dążenia do postawienia jej na poziomie rzeczywistego bytu. Usiłowania, nie pozbawiające zresztą całego zakątka jego posępności, która z wiosennie rozkwieconym wyglądem ogrodu w rażącej pozostając sprzeczności, jest jakby tajoną nabołałością, z nakazu woli rozpogodzonym, uśmiechniętem obliczem maskowaną, a jednak w groźnej swej jawie trwająca niewycieżenie.

GOŚĆ. *(Stoi oparty o balustradę, zapatrzony na jaśniejące w dali, niezrównanego błękitu morze, w półkole gór skalistych ujęte).*

GOSPODARZ. *(Siedzi na ławce po prawej. Obaj w ubraniach turystów, odmiennych tylko barwą, przytem strój gościa, nosząc ślady przebytej drogi zmięty jest i zakurzony, zaś gospodarz w ubraniu zupełnie świeżem i bez kapelusza. Godzina przedpołudniowa.*

GOŚĆ. I oddawna tak mieszkasz?

GOSPODARZ. *(Obojętnie).* Nie mogę ci powiedzieć dokładnie. Czas przestał istnieć dla mnie... od pewnego czasu.

GOŚĆ. Możesz sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy błędząc po okolicy dowiedziałem się naraz, że owo romantyczne, wpółrozwalone zamczysko jest zamieszkałe, i wymieniają przytem twoje imię i naz-

wisko. Oczywiście nie mogłem się oprzeć
chęci odwiedzenia starego przyjaciela.

GOSPODARZ. *(Z chłodną grzecznością).*
Bardzo ci jestem wdzięczny.

GOŚĆ. Prawdziwy tu raj u ciebie. Ta-
kie bogactwo kwiatów... i ten niezrównany
błękit morza, tworzącego wraz z niebem
jednobarwną, olbrzymią kulę, tak je-
dnolitą, że niewiadomo kędy się kończy
niebo, a morze zaczyna.. Czy i teraz
jesteś równie przedsiębiorczym maryna-
rzem, jakim byłeś za naszych młodych lat.

GOSPODARZ. O nie! Teraz kocham
morze, ale zdaleka.

GOŚĆ. Jakto zdaleka?

GOSPODARZ. Wystarcza mi gdy wi-
dzę, jak fale jego biją o brzegi, i wnet
opadają, żeby po chwili znowu ziemię
szarpać, rozpoczynając wciąż na nowo
pracę, której nigdy skończyć niepodobna.

GOŚĆ. Powiedziano mi, że od czasu
jakeś tu zamieszkał, nie przestąpiłeś ani
razu progu swej siedziby. Z tego co
mówisz zaczynam wnosić, iż owe pogłoski
choć w części uzasadnione być muszą.

GOSPODARZ. Są najzupełniej uza-
sadnione.

GOŚĆ. Nie wyszedłeś nigdy za próg tego ogrodu?

GOSPODARZ. Po co? nie mam żadnych pragnień, któreby mnie tam wiodły.

GOŚĆ. I nie widzisz się z nikim, nikt tu nie przychodzi?

GOSPODARZ. Po co mi ci obojętni! Mam swoje kwiaty i jestem panem w swoim ogrodzie. Chwila milczenia.

GOŚĆ. Nie poznaję ciebie.

GOSPODARZ. Cóż dziwnego. Przez tyle lat nie spotykaliśmy się wcale.

GOŚĆ. Zważyłem już nawet czy ciebie kiedy zobaczę, tak nagle zniknąłeś mi z oczu. *(Wchodzi służąca ubrana czarno, ruchy jej ciche, nie czyniące najłżejszego szmeru. Sprząta ze stolika i oddala się również bez szelestu).*

GOŚĆ. Więc jest jednak jakaś żywa istota w tym zaczarowanym zamku. *(Nasłuchując).* A jaka tu dziwna cisza! zdawałoby się, że najłżejszy odgłos życia nigdy poza te ściany kwiatów nie przeniknął...

GOSPODARZ. Tegom właśnie chciał i to zdobyłem. Wzdłuż mojego ogrodzenia,

szła ongi droga wiodąca z jakiejś górskiej wioszczyny do miasteczka, w dole. I widywałem ciągle szeregi istot ludzkich, jak wlokły się powoli, od dźwiganych ciężarów do ziemi niemal zgięte, a wielokrotny tupot ich drewnianych chodaków, wraz z zapachem nędzy, wnikał zda się ku mnie tłumiąc woń moich kwiatów... Wystarałem się o zamknięcie tej drogi.

GOŚĆ. I ci biedacy byli zmuszeni wyszukać sobie nową?

GOSPODARZ. Zmuszeni byli rzucić drogę, którą od lat chadzali, a obrać dalszą i nawet cięższą. Natomiast ja uczułem się wreszcie zupełnie wyzwolony.

GOŚĆ. *(przed siebie)*. To tak zawsze bywa.

GOSPODARZ. Co bywa zawsze?

GOŚĆ. Jeśli kto nie chce dźwigać ciężaru, który mu przeznaczono, wówczas dla tych innych tymci trudniejszą staje się droga.

GOSPODARZ. Dźwiganie ciężarów jest niektórym ludziom do życia konieczne. Odjąć im ich brzemię, a nie będą wiedzieli co z sobą począć mają. Ja zaś pielęgnuję kwiaty i patrzę jak na dole rozbijają się fale.

GOŚĆ. Nie, nie mógłbym tak wytrzymać, a zapach twoich kwiatów niezwykle jakoś odurzać mnie zaczyna. Gdybym miał już kiedy stać się pustelnikiem, wolałbym zamknąć się wśród niedostępnych szczytów i lodowców. Tam nie czułbym się więzieniem we własnym mieszkaniu.

GOSPODARZ. To co się tobie wydaje więzieniem, dla mnie stanowi fortecę. Tu dopiero czuję się bezpieczny. *(Gość i gospodarz, którzy od niejakiego czasu chodzili po alejach, trzymając się bardziej prawej strony, zbliżyli się ku wieży, tak że ta dotychczas drzewami zasłonięta niespodzianie oczom ich się ukazuje).*

GOŚĆ. *(Patrząc nań z ciekawością).* Ta wieża istotnie nasuwa myśl o fortecy. Więc tam się mieści twoja siedziba?

GOSPODARZ. Mam tylko parę pokoi, które doprowadziłem do stanu mieszkalnego, reszta bowiem do szczytu zrujnowana, ledwo że się jako tako trzyma.

GOŚĆ. I nie masz obawy, że ci to wszystko podczas pierwszej burzy zawali się nad głową?

GOSPODARZ. *(Spokojnie).* Ja boję się tylko życia, zaś to byłaby śmierć.

GOŚĆ. (*Nagle zdziwiony*). Powiedz mi co ma znaczyć owo światelko na wieży. Teraz dopiero je spostrzegłem. A może nie płonęło poprzednio?

GOSPODARZ. To światło nie gaśnie nigdy.

GOŚĆ. (*Z uśmiechem*). Czy to gwiazda mająca ukazywać drogę zbłąkanym?

GOSPODARZ. Tak to światło rzeczywiście ukazuje drogę zbłąkanym. Tam mój przybytek.

GOŚĆ. Więc po co oświecasz go i we dnie?

GOSPODARZ. Bo w dzień tym łatwiej zapomina się, że ona jest.

GOŚĆ. Kto... ona?

GOSPODARZ. (*Obojętnie*). Śmierć.

GOŚĆ. Śmierć?

GOSPODARZ. Tam na górze zgromadzone są najróżnorodniejsze narzędzia śmierci w różnych epokach, przez różne ludy stosowane, poczynawszy od zupełnie prymitywnych, a kończąc na ostatnich zdobyczach naszych czasów.

GOŚĆ. Kolekcya broni — chcesz zapewne powiedzieć.

GOSPODARZ. I broń oczywiście jest w to włączona. Ale ja mam na myśli głównie narzędzia śmierci. Inaczej mówiąc środki do odbierania życia bezbronnym, no i... samemu sobie przedewszystkiem. (*Ożywiając się naraz*). Mam parę bardzo ciekawych okazów. I niezwykle to zaiste obraz. Bo z jednej strony ewolucja okrucieństwa ludzkiej duszy w całym jej bezwzględnej obnażeniu, z drugiej zaś opanowanie zupełne takiej potęgi jak śmierć, wytrąceniem z rąk jej broni, którą przedstawia ból – przez usunięcie tego bólu, całkowite jego zniweczenie. A broń to zaiste jedyna, którą ona tajemnicznie progu swoich strzeże, czyniąc je tak do przebycia trudnemi, gdy tymczasem przestąpienie tego progu niczem się właściwie nie różni od najzwyczajniejszego pójścia na spoczynek.

GOŚĆ. (*Zaniepokojony*). Ale ty jesteś chory! Oto do czego doprowadziła cię twoja samotność.

GOSPODARZ. (*Z uśmiechem politowania*). Wiedziałem, że tak powiesz. Nie jestem chory, tylko odszedłem od życia

na taką odległość, z której ogarnąć mogą cały jego niezmierzony obszar od krańca do krańca, tymczasem bez chęci zatrzymania się przy którymkolwiek z nich.

GOŚĆ. Inaczej mówiąc – wyzbycie się wszelkich nadziei.

GOSPODARZ. Mylisz się, jest to jedynie wyzbycie się trwogi śmierci i ujęcie biegu istnienia w niezłomne karby, mocą mojej woli zakreślone. Bo znalazłem wreszcie prawdziwy złoty środek, ów punkt bezruchu, w którym wszelkie sprzeczności tak są względem siebie unormowane, że jedna drugiej przeciwdziałając, wzajemnie się niweczą, a znajdujący się w tym punkcie, może zapomnieć, że jakiegokolwiek jeszcze na świecie istnieją.

GOŚĆ. Inaczej mówiąc sytuacja stojącego na linii. Byle ruch nieostrożny i konieczny wszystkiemu. Czy sądzisz, że długo tak wytrwać można.

GOSPODARZ. Nie myślę o tem wcale.

GOŚĆ. Życie mści się na wszystkich, którzy chcą podeptać jego prawo.

GOSPODARZ. *(Nieco poruszony)*. Jakie prawo?

GOŚĆ. Prawo mocy dnia wczorajszego, niezwyciężonej władzy wczoraj nad jutrem.

GOSPODARZ. (*Z trwogą*). Dlaczego myślisz, że ja właśnie z pod tej władzy wyłamać się pragnę?

GOŚĆ. Nie trudno zauważyć, iż czynisz wszystko, żeby się od swej przeszłości oderwać.

GOSPODARZ. (*Już opanowany*). I od terażniejszości również.

GOŚĆ. Teraźniejszość istnieje tylko jako granica pomiędzy przyszłością i przeszłością. (*Po chwili, niżywszy głos*). A jeśli ona i tu odnajdzie ciebie.

GOSPODARZ. Wówczas ja stąd odejdę. Jestem zawsze do drogi gotów.

GOŚĆ. (*Z lekkim dreszczem*). Zaczyna mi być zimno w tym twoim słonecznym i ukwieconym ogrodzie. (*Oglądając się niespokojnie*). Zdawało mi się, że słyszę jakieś kroki. Niema nikogo. (*Ogląda się znowu*). Stanowczo mam wrażenie, że ktoś wszedł i czając się idzie za nami. (*Gość i gospodarz znajdują się znowu na terasie. Gospodarz siada na ławce.*

Gość stoi oparty o balustradę jakby wyczekujący. Dłuższa chwila milczenia. Wiatr, który nagle przebiegł po wierzchołkach drzew, strącił kilka kwiatów glicynii, i te zatrzepotawszy się jak motyle, opadają powoli na ziemię. W tejże chwili gospodarz podnosi parę razy rękę do czoła i jakby szukając spogląda ku górze).

GOSPODARZ. (Z niespokojnem zdziwieniem). To niesłychane!

GOŚĆ. Co się stało?

GOSPODARZ. Skąd te krople! Trzecia już spadła mi na czoło. A niema najmniejszego obłoczka na niebie. (Znow sięgając czoła). I znowu jedna... Jakieś ostatnie krople rosy, których słońce jeszcze nie osuszyło.

GOŚĆ. Jakby ostatnie łzy.

GOSPODARZ. (Z nieskrywanym lękiem, będącym niemal bólem). Ostatnie... ty powiedziałaś... jakby ostatnie łzy... (Przesuwa ręką po oczach, długie milczenie).

GOŚĆ. (Siadając na ławce). Powiedz mi, co się stało z tą śliczną, dziewczyną; co nazywała się tak dziwnie... Zorzeńka, czy coś w tym rodzaju, a miała takie

cudowne blado-złote włosy, i jakby złotem mieniające się oczy...

GOSPODARZ. (*Budząc się z zadumy, głucho*). Dlaczego pytasz o nią teraz właśnie?

GOŚĆ. Sam niewiem, to tak trudno bieg własnych myśli uchwycić.

GOSPODARZ. (*Przed siebie*). I ja myślałem o niej również, jak ty! Ale mnie przypomniały ją owe krople rosy, co spadły na moje czoło, niby łzy ostatnie.

(*Wchodzi służąca*).

SŁUŻĄCA. (*Głos cichy i spokojny, jak jej ruchy*). Proszę pana, przyszedł Luigi z rachunkiem. Czy kazać mu przyjść później, czy też niech zaczeka?

GOSPODARZ. (*Wstając*). Idę natychmiast, Marinetto. Wiesz dobrze, iż nigdy nie każę czekać nikomu.

GOŚĆ. Jakto, w podobnej chwili chcesz załatwiać jakieś rachunki?

GOSPODARZ. (*Z dziwnym uśmiechem*). Właśnie tym bardziej w tej chwili. Powiedziałem przecie, że teraz nie każę nikomu czekać... i to — jedyne com z swej przeszłości z sobą na drogę wziąłem. Nie za-

bawię długo zresztą, rachunki załatwia
Marinetta, ja tylko wręczam jej pieniądze.
Wszak wybaczysz...

GOŚĆ. Ależ proszę. (Przeprowadza
odchodzącego spojrzeniem, poczem wstaje
i zaczyna chodzić po terasie w zamyśleniu
pogrążony. Po chwili siada na ławce
przed stolikiem, wyjmuje z pudełka cygaro,
ale go nie zapala).

GOSPODARZ. (Powraca, jest spokoj-
niejszy niż poprzednio, lecz na twarzy znac
tajony ból, i głos ma jakby znudzeniem przy-
tłumiony). Widzisz niedługo byłem... A teraz
opowiem tobie...

GOŚĆ. (Przerywając). Nie mówmy
o tem lepiej... Widzę, że dotknąłem jakiejś
bolesnej struny... najmocniej ciebie prze-
praszam.

GOSPODARZ. Właściwie nie ty ją
dotknąłeś... (Beznadziejnie). I zresztą teraz
już wszystko jedno, nie potrafiłbym nawet
mówić o czem innem. (Po pauzie, jakby
nabrawszy tchu). Ona nie żyje.

GOŚĆ. Umarła!

GOSPODARZ. Odebrała sobie życie,
a ja... (urywa, zmienionym głosem.) Byłem

przy jej śmierci i jej ostatnie łzy spadły na moje czoło... i na duszę także.

GOŚĆ. Lecz cóż było powodem, dlaczego ona to zrobiła!

GOSPODARZ. Taka nic nie znacząca drobnostka. Bo drobnostki więcej znaczą w życiu, niż myśmy sądzić zwykli. (*Zamyślny.* A może nie ta jedna drobnostka, ale cały ich szereg, jedna do drugiej dodane, aż w końcu ta ostatnia przeważała. (*W posępnem skupieniu patrząc przed siebie.*) Wiesz przecie jaki zawsze byłem względem kobiet. Lekceważyłem wszystkie, ponieważ rałem wprost niemi, i to tym więcej, jeśli choć najlżejszy znajdowałem opór. Zasada moją było trzymać je w wiecznej niepewności i oczekiwaniu, by nie dać żadnej ani chwili przewagi nad sobą, utrwalając tem własne panowanie nad każdą, które wówczas stawało się nieodparte niczem. I tak też było, zawsze zwyciężałem ja.

GOŚĆ. Tak, pamiętam. Nigdy z tą twoją metodą pogodzić się nie mogłem.

GOSPODARZ. Potępiałeś mnie za moją bezwzględność, i byłem rzeczywiście takim, nie ukrywając się nigdy, i nie grając

przed nikim komedyi, a tem mniej wobec kobiet, które zdobyć pragnąłem. Chcę wszystkiego, lecz z siebie nie daję nic, nic ze swej duszy — tak mawiałem zawsze.

GOŚĆ. I znajdowałeś takie, co się godziły na ten twój program?

GOSPODARZ. Godziły się nań wszystkie, bo każda w głębi duszy myślała, że oczerniam siebie, i kochały mnie nawet więcej za moją niezwykłą szczerłość, w której gotowe były upatrywać niemal bohaterstwo.

GOŚĆ. A cóż ona... Zorzeńka?

GOSPODARZ. Powiedziała mi gdym jej to zaraz na wstępie oznajmił: Nauczę pana czuć inaczej.

GOŚĆ. I nauczyła...

GOSPODARZ. Na pewien czas przed... katastrofą, spostrzegłem, że jakaś walka tajemna toczy się między nami. Ona stała się inną, bardziej zamkniętą w sobie i powściągliwszą, w okazywaniu swych uczuć. Nie unikała mnie wprawdzie, ale gdy byliśmy razem, czułem, że już nie ja mam w ręku ster, a ona, trzymając mnie

w pewnem oddaleniu, to przybliżając i jakby mocy własnej próbując nademną... i nad samą sobą także. I tak trwało, aż nagle, pewnego dnia zniknęła... nie pożegnawszy się ze mną, nie uprzedziwszy ani słowem...

GOŚĆ. Czyli, żeś wreszcie został pobity własną bronią.

GOSPODARZ. Nie uznałem się tak łatwo za pobitego. Choć wówczas gdy odchodził od jej drzwi, które dotychczas zawsze były dla mnie otwarte, nagle dziwne zdjęło mnie uczucie. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, że nie mam naprawdę nikogo blizkiego na świecie, dokąd mógłbym pójść w ciężkiej dla mnie chwili, i że ona była może jedyną kobietą, któraby mnie na długo przykuć potrafiła... bo jednak, pomimo wszystko, wszak to jest właśnie przez nas najbardziej upragnione: być jednym dla tej jednej.

GOŚĆ. I wtedy właśnie ona odebrała sobie życie...

GOSPODARZ. Nie. Nie wytrwała w zaciętości i odezwała się raz jeszcze. Wkrótce po jej wyjeździe otrzymałem list.

(Przesuwając ręką po oczach, stłumionym głosem). Nie wierzyłem wówczas, że list ten w istocie był krwią jej serca pisany.

GOŚĆ. I nie odpowiedziałeś zapewne.

GOSPODARZ. Nie odpowiedziałem... a powinienem był odpowiedzieć niezwłocznie, tembardziej, że ona wyraźnie to zaznaczała, prosząc żebym nie męczył jej kładąc czekać, jak zwykle, bo ona teraz już czekać nie ma siły. Wziąłem to za czczy frazes, i zachowując swój właściwy mi sposób, trzymania jak najdłużej w niepewności, zaciąłem się w milczeniu, chcąc ją ukarać za ową śmiałość buntu, co wszakże było zupełnie zbyteczne, gdyż list jej tchnął najdoskonalszym wyrazem iście kobiecej bezbronności i pokory, tej pokory prawdziwie pięknej duszy, która nawet gdy się w proch pochyli, blasku swego nie straci.

GOŚĆ. I tego już dusza jej przetrzymać nie była w mocy.

GOSPODARZ. (W bolesnem zapamiętaniu). Pisała, że mi przebacza wszystko, całą moją bezwzględność, nielitościwe deptanie jej uczucia... gdyż trzeba ci

wiedzieć, nietylko, że nie byłem jej wierny, czegom zresztą nie uważał za winę, ale dziwną ciekawością wiedziony, opowiadałem o swych zdradach, żeby ujrzeć wrażenie, jakie podobne zwierzenia w niej obudzić zdołają, jakgdyby widok wywołanego cierpienia, nasycił nieświadomie istniejącą we mnie potrzebę okrucieństwa.

GOŚĆ. I ty mając podobne przeżycia za sobą, mogłeś po takim jej wezwaniu pozostać niewzruszony!

GOSPODARZ. Postanowiłem wycze-kać... choć tym razem jednak nie przyszło mi to bez trudu.. A wiesz, że nie usłyszał od niej nigdy słowa skargi na siebie, ani na nikogo, dopiero ten list ostatni mi odsłonił, że jej poprzednie życie było jedną nieustającą niedolą i poniewierką do których ja... (*Urywa*). Dziwne także w niej było, że nie płakała nigdy przynajmniej w mej obecności, dopiero wtedy, przed śmiercią, kiedy było wiadome, że chwile jej są policzone... Na razie był jeszcze słaby cień nadziei... lecz co najstraszniejsze, że i ona już wtedy żyć zapragnęła... (*Długa chwila ciszy*).

GOSPODARZ. *(Z nagłym wybuchem).*
Czegom tylko nie czynił, żeby wyrwać z
siebie te wszystkie wspomnienia. Niszczy-
łem każdy drobiazg, co mi ją mógł przy-
pomnieć. Nie brałem książki do ręki, bo
czasem jakieś zdanie... Z coraz to rosnącą
zaciętością niszczyłem każdą nić żywą,
co między mną a światem łączność utrzy-
mać mogła, dzień za dniem wznosząc ów
gmach beczucia i zobojętnienia w którym
znalazłeś mnie ty, i w chwili gdy się
mniemał już pewny zwycięstwa... *(Z bez-
nadziejnym spojrzeniem dookoła, doszczętnie
zniweczony).* Teraz przestałem być panem
w swoim ogrodzie. *(Nabiegły nagle powiew
wiatru chyli gałęzie drzew, i strząsa płatki
kwietne, które sypią się gęsto, mgłą barwną
utworzywszy, tak, że obie postacie giną
prawie z oczu, tumanem kwietnym przysło-
nięte, a gdy kwiaty opadły, gościa już niema,
i tylko gospodarz siedzi sam na ławce, ja-
kiś bezsilnie opadły, w zupełnym znierucho-
mieniu martwo przed siebie zapatrzony).*

Ś W I T.

Hr. Klementynie Stadnickiej

poświęcam

OSOBY:

PIERWSZY WĘDROWIEC.

DRUGI WĘDROWIEC.

PACHOLE.



Dwaj wędrowcy idą wciąż przed siebie, i zrzadka tylko się zatrzymując, zwalniają lub przyśpieszają kroku, stosownie do właściwości drogi, która ich wiedzie, wśród zmieniających się coraz widoków. Rozległy krajobraz. Skały i szczyty gór czernieją ponuro wśród zatapiającego je mroku. Pochyły skłon, na którym są wędrowcy, znużonym krokiem idąc zwolna w górę, lekko spadzisty zrazu, staje się bardziej stromy i niemal niedostępny.

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*Sakwy na plecach, kij w rękę*). Czy widzisz co?

DRUGI WĘDROWIEC. Mrok jednostajny i nieprzenikniony zalał wszystko dokoła, że wzrok mój na niczem zatrzymać się nie może.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A jednak twoje oczy wnikały weń jeszcze wówczas, gdy moje bardziej słabe, widzenia mocy rychlej pozbawione, kierować się dawały, kędy wiodłeś ty.

DRUGI WĘDROWIEC. Błady krąg nieba, przyświecający nam dotychczas i obumarłem światłem sycący w duszy ostatni blask nadziei, chronionej przez nas jako skarb bez ceny, którego skorą przeczuwamy stratę — ów krąg blady nieba zatonął w nieprzejrzanej nocy.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ciemności, w których nierozzerwalnym pierścieniu błędzimy oddawna, przez mgnienie jedno nie zaznawszy wytchnienia — dosięgły w tej godzinie najwyższego szczytu niebieskiej kopuły. Fale mroku zamknęły się zupełnie nad naszymi głowami. Idźmy już... idźmy.

DRUGI WĘDROWIEC. A jeśli otchłań u stóp się nam otworzy, swoją głębią groźna, nienasycenie ofiar nowych głodna.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Więc czekać? czekać na przyjście czegoś czemu przyjść może nigdy nie sądzono, i wierzyć, że jest przed nami, co już bodaj minęło i nie wróci!

DRUGI WĘDROWIEC. Idźmy, ale ty prowadź. Ja to czynić mogę wówczas jedynie, gdy choćby cień jakiegoś kształtu rozróżnić mi się daje, lecz tak iść, na oślep...

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*Ginąc w mroku*). Powoli za mną... o kamień ostry zawadziłem nogą, miej się na baczności. Idziemy wciąż w górę, może gdy na ten szczyt się wydostaniem...

DRUGI WĘDROWIEC. Sądysz, że jaśniej będzie niżli teraz?

PIERWSZY WĘDROWIEC. Boję się spłoszyć słowem nieostrożnem ozywającą w sercu mojem otuchę. Nie wiem... czekajmy... nie pytaj lepiej.

DRUGI WĘDROWIEC. *(Po chwili)*. Strudzonym wielce. Straszne to zaiste iść i nie wiedzieć kędy kroki twe wiodą.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Patrz!... spojrzysz tam.

DRUGI WĘDROWIEC. Nie widzę nic.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ku górze patrz... w niebo.

DRUGI WĘDROWIEC. Znowu ten sam bladawy krąg obumarłego światła.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Światła co syci w duszach nadziei błysk ostatni. Teraz spocznijmy.

DRUGI WĘDROWIEC. Mroczna zasłona jakby się rozsuwa pod niewidzialną dłoń, nieznanej dla nas mocy. Wyteżmy siły, kres bliższy może niż się zdawało. Wszak musi jeszcze jaśnieć kędyś słońce, to słońce, które ongi nam świeciło nieśmione.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Aż przyszła
ta noc wieczna!

DRUGI WĘDROWIEC. *(Wysuwa się te-
raz naprzód, czas jakiś idą w milczeniu.
Ciemności, które nieco się rozproszyły pozo-
stają niezmiennie, w szarość jednostajną stę-
żale, gdy w górze, na szczycie niebios skle-
pienia, nieruchomy trwa bladawy krąg, słabym
jaśniejący blaskiem.)*

PIERWSZY WĘDROWIEC. Dawno już
tak idziemy, och, dawno. I ciężka nasza
droga, końca której niemasz, zaś jej po-
czątek, mgłą oddalenia skryty, w pamięci
mej zatonął, jako ten kamień w głębinę
wód rzucony... A przed nami wciąż ona,
zawsze ta sama, droga bez kresu i bez
wytchnienia.

DRUGI WĘDROWIEC. Droga? bezdro-
że, powiedz. Szliśmy ciągle bezdrożem,
od chwili gdy na rozstaju stanęliśmy raz
niepewni...

PIERWSZY WĘDROWIEC. Nie wiem
o jakim mówisz? Wszak idziemy przed
siebie nie zboczywszy ni razu i nie pa-
miętam nawet czy kiedy inaczej było. Je-
dynym szlakiem szliśmy od początku.

DRUGI WĘDROWIEC. Aż przywiódł nas, kędy cztery drogi w cztery przeciwległe spoglądały strony. I wahałeś się długo jaką obrać należy... Teraz pamiętasz! (*Milczenie.*)

PIERWSZY WĘDROWIEC. Powiedz na koniec, ty którego oczy dalej sięgają niż moim widzieć dano, czy mógłbyś mi określić wiele dni upłynęło, dni a może miesięcy, odkiedy słońce zgaśło na naszym niebie. Czy mógłbyś – powiedz.

DRUGI WĘDROWIEC. To byłoby zbyt trudne. Straciłem zdolność rozróżniania czasu, od chwili, kiedy mrok się nie cofnął przed blaskiem dnia. Lecz jeśli pragniesz, powiem ci tylko jakie przemiany dostrzegam w twojej twarzy. To mogę

PIERWSZY WĘDROWIEC. Zmieniłem się snąć bardzo, jestem zupełnie inny niż wówczas kiedy tam...

DRUGI WĘDROWIEC (*Po chwili.*) Dlaczegoś zamilkł, jakbyś słów się zląkł własnych? Mów dalej, proszę.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Wspomnienie odległych, tamtych, jasnych mgnień, nieuchwytem tchnieniem wionęło mi

w duszę, a przygniotło jak skała, coby spadła nań z najwyższego gór tych niedostępnych szczytu. Takie jedno dalekie wspomnienie...

DRUGI WĘDROWIEC. Patrzmy przed siebie. Niezgłębione urwiska czyhają dookoła, patrzmy pilnie przed siebie!

PIERWSZY WĘDROWIEC. W nieustający mrok... A dawniej było słońce, gorące jasne, szczerzółte słońce... I nam się zdawało, że tak będzie zawsze.

DRUGI WĘDROWIEC. Jam cię ostrzegał już wówczas, ale ty...

PIERWSZY WĘDROWIEC. Tak, lecz tyś przyszedł późno, za późno bodaj, i choć odrazu staliśmy się blizcy sobie, jak bracia...

DRUGI WĘDROWIEC. A gdybym przyszedł wcześniej, czy sądzisz, że ostrzeżenie moje zmienićby coś mogło? Zresztą na początku ty kierowałeś moimi nieco jeszcze niepewnemi krokami.

PIERWSZY WĘDROWIEC. To trwało krótko, gdyż przyszedłeś przed końcem, w którego możliwość nigdy wierzyć nie chciałem.

DRUGI WĘDROWIEC. Ja byłem wówczas już na wszystko przygotowany.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Tak — ty, boś tam właściwie nie żył. Dopiero teraz, wśród gniotących nas mroków, zdajesz się coraz wzrastać w dziwną siłę, i bodaj że wzrok twój wielokrotnie bystrzejszy, niżli go przedtem miałeś.

DRUGI WĘDROWIEC. Bo mnie z wszelką niemocą nawet przed samym sobą zdradzać się nie wolno. Ja muszę wierzyć, że będę silny zawsze.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ale tam było inaczej... Tam wiodłem naprzód ja, w którego piersi wrzały pragnienia bez miary i bez końca, owo wiecznie żywe, w mocy swej niezużyte źródło wszelkiego stawania się na tej ziemi.

DRUGI WĘDROWIEC. I wszelkiej niedoli... o tem nie zapominaj, że przede wszystkim niedoli. *(Szarość mroku nieznacznie się rozjaśnia, pozwalając dokładniej rozróżnić zarysy gór, i nawet oblicza obu wciąż z widocznym wysiłkiem zwolna postępujących wędrowców).*

PIERWSZY WĘDROWIEC. Więc wielkie we mnie dostrzedz można zmiany? Wstrzymaj się chwilę i na twarz moją spojrzysz.

DRUGI WĘDROWIEC. Nie potrzeba mi patrzeć, żeby powiedzieć jakim jesteś dziś.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Więc mów... mów wszystko... Stary już jestem i mam zmarszczek pełno...

DRUGI WĘDROWIEC. Tak jesteś cały poorany zmarszczkami. A widzę w nich jakby ślady całej sieci dróg, któremi oto idziem w ciągłym trudzie. Wszystkie zostały odbite na twym obliczu, poznaję każdą, nie brak ani jedynej.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A włosy moje siwe są zupełnie...

DRUGI WĘDROWIEC. Biały jesteś jak gołąb.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I tam, bywało, nieraz jasne nici błyszczały wśród moich włosów, ale w on czas jam sądził, że to słońce złote własny swój odbłask na głowę moją kładzie, a teraz... Mówisz, jestem zupełnie siwy?

DRUGI WĘDROWIEC. Jako poświata srebrzącego się miesiąca.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ażali idziem już tak długie lata, jeśli zmiany podobne stać się we mnie mogły!

DRUGI WĘDROWIEC. Zmiany które dostrzegłem stają się również dobrze w przeciągu lat szeregu czy tygodni, lub dni, a nawet godzin. Prawdziwą miarą czasu jest li tylko tętno bijącej nieustrudzone w żyłach naszych krwi. Inna nie istnieje.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Snać u mnie ono bardzo powoli biło, i każda jedna chwila za chwil tych mnogość starczyć by zdołała.

DRUGI WĘDROWIEC. Raczej odwrotnie, biło przyśpieszone, tyś żył w nieustającej gorączce oczekiwania, i jeszcze teraz czekasz.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A ty czyliż nie czekasz? Wszak jesteśmy wciąż razem i losy nasze wzajem ze sobą są związane.

DRUGI WĘDROWIEC. Lecz ja idę spokojny, wierząc, że nas krok każdy bliższymi czyni jakiegokolwiek końca.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I dlatego nigdy spocząć mi nie dajesz, nie bacząc

wcale, że przyjdzie niechybnie czas kiedy nam obu wreszcie sił zabraknie.

DRUGI WĘDROWIEC. To byłby także koniec... Ale nie lękaj się, siły będą zawsze gdy ich istotnie trzeba. Nie wiemy nigdy jak bardzo wiele te ramiona człowiecze udźwignąć są w mocy.

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*W zamyśleniu, przed siebie*). Dziwne, że ja w twojej twarzy nie widzę żadnej zmiany. Zawsześ jednak, w spokoju niezamącony.

DRUGI WĘDROWIEC. (*Odwraca się ku pierwszemu, przyczem światło pada nań tak, że gdy postać cała ledwo widnieje w mroku, z bielejącego oblicza patrzą oczy nie oczy, ale wszelki blask chłonna otchłań bezdennego smutku i dobroci*).

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*W myślach zatopiony, nie patrząc*). Tylko ta zmarszczka na czole między brwiami słabo zaznaczona, gdyśmy wędrówkę rozpoczynali, stała się teraz jakby głębszą nieco. (*Nagle spojrzawszy*) I bolesna... jaka bolesna! Cały wysiłek tych naszych bezsłonecznych godzin, czuć w znieruchomiłym ściągnięciu twojego czoła.

DRUGI WĘDROWIEC. (*Ostrzegawczo*).
idziemy... idziemy.

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*Echowo*).
Idziemy. (*Chwila*) Sakwy mi ciężą, lecz
choć ich zawartość z każdym dniem to-
pnieje, idę wciąż wolniej, ramiona ku ziemi
chyląc, a stopy jak w ziemię wrosłe, tak
je udźwignąć trudno.

DRUGI WĘDROWIEC. Co masz jeszcze
w swych sakwach? Czerpaliśmy zeń tyle
i czerpiemy wciąż.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ziarna tylko
niedużo, zresztą nic nie zostało, a były pełne
gdyśmy wychodzili i ciężkie, że z trudem
wielkim unieść je zdołałem, pomimo iż
siły moje olbrzymie były zaiste.

DRUGI WĘDROWIEC. Tak... ów cię-
żar cały musiałeś nieść ty sam, albowiem
ja nie mogłem być tobie w tem pomocny...
Co jednak będzie kiedy ziarna nie stanie?

PIERWSZY WĘDROWIEC. Zstąpię
w niziny, które dotychczas mijaliśmy
skwapliwie, tam się jakoweś znajdzie po-
żywienie.

DRUGI WĘDROWIEC. I tam pozostać
mamy?

PIERWSZY WĘDROWIEC. O tak, tam już zostaniem. Osłabłe moje ręce dziś nie uniosą tyle co ongi śmiały, zaś ten niewielki zapas, który jeszcze dźwigam, starczy obecnie za najcięższe brzemię.

DRUGI WĘDROWIEC. Idąc wciąż górąmi myślałem skrócić drogę, że choć trudniejsza, prędzej zbliżyłaby nas do celu.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Tymczasem góry stoją dookoła, niby strażę wieczną, wszystkim dostępu broniące, a chociaż naprzód idziemy nieustrudzenie, one zawsze jednakie — nie bliższe i nie dalsze, w bezruchu swym stężale i nieme, nieme... My z pośród nich już nigdy nie wyjdziemy.

(Znalazłszy się nagle przed stromym bardzo, ginącym w chmurach szczytem góry, którą szli dotychczas, podróżni zwalniają kroku i zatrzymują się wśród głazów. Napływające zwolna obłoki przysłaniają góry, tak jednak, że wędrowcy pozostają widzialni, acz nieco przyćmieni. Po chwili chmury ustępują, odsłaniając spieniony wodospad, rzucający się z wysokiej ściany skalnej w urwisko, na drugim brzegu którego znajdują się podróżni, twarzą ku potokowi zwrócen-

gdy po lewej obok — wąwóz skalny, z wąską ścieżyną ciernistymi krzakami porostą).

PIERWSZY WĘDROWIEC. Przed nami otchłań, a dokoła cisza, beznadziejna, gnio-
tąca i niezwyciężona. Nawet ów potok,
co warem zda się kipi, bezszumnie w głę-
bie spada, jakby w swym ruchu skamie-
niały na wieki. To dziwne — czyś ty
sposstrzegł? żaden głos żywy w tej ciszy
nie zadźwięczał, ani głos ludzki, ni szcze-
biotanie ptasie, jedynie my!.. Ale nie czu-
łam tego jeszcze nigdy, jak dziś.

DRUGI WĘDROWIEC. (*Który poszedł
naprzód*). Ślady na ścieżce. Jeden, a obok
drugi... jest ich bez liku. Niektóre ku nam
patrzą, inne zasię wprost biegą. Tędy
szło wielu.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Zali to pier-
wsze widziane przez nas ślady, a wszakże
nigdy nie spotkaliśmy nikogo, coby podą-
żał w jedną z nami stronę.

DRUGI WĘDROWIEC. Minał nas nie-
jeden, ale tyś ich nie widział, szli bezsze-
lestni i milczący jak cienie.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I mnie się
nieraz zdawało, że widzę cienie, alem nie

był pewny. Ty co widziałeś, czemuś nie rzekł nic wtedy?

DRUGI WĘDROWIEC. Byli od nas daleko, byli zawsze daleko i tylko mrok pozornie zbliżał nas ku sobie.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ach, tak... teraz rozumiem... Powiedz, więc i tyś tęsknił, podobnie jak ja?

DRUGI WĘDROWIEC. *(Odwraca się na mgnienie, oczy ich zatapiają się w sobie).* Tak, i ja tęsknię również, jak i ty.

(Milczenie).

(Wąwóz powoli się rozszerza przechodząc w płaszczyznę skalną, na prawo i lewo gubiąca się wśród skał, na wprost zaś ucięta, stromym spadem ku dolinie, otoczonej łańcuchem jakby nagle w dal odeszłych gór).

PIERWSZY WĘDROWIEC. Niziny przed nami, dawno nie widziane, a rozległe – hej... że pierś swobodniej dychy, ucisku zbywszy zwykłego.

DRUGI WĘDROWIEC. *(Zstępując powoli).* Ostrożnie stąpać trzeba, pod mchami schody skryte, od wieków ludzką nie dotknięte stopą, dopiero dziś...

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*Niespokojnie*). A co się z nimi stało, których ślad na ścieżce splątał się z naszymi, czyliż oni w tę stronę dążyć nie byli zmuszeni?

DRUGI WĘDROWIEC. Oni nie byli zmuszeni, ani my...

PIERWSZY WĘDROWIEC. Tam obok otchłań była! Wróćmy, może na dnie jej...

DRUGI WĘDROWIEC. Otchłań głęboka milczeć głęboko umie. A głębsza tym zazdrośniej tajemnic swoich strzeże. My nie ujrzymy nic. (*W miarę jak zstępują, odsłania się dolina, mająca pośrodku jezioro brzegiem wyniosłym objęte. Nad jeziorem, po stronie wędrowcom przeciwległej, wysoko usypana mogiła, a na niej krzyż, odbicie którego w wodzie, ramion nie ukazujące, zdaje się w głąb nieskończoną go przedłużać, jakby ów krzyż nawskroś ziemi idący, z jej wnętrzy wynurzony, ludzki ból tam zamknięty, beznadziejny, śmiertelny, na schłostanych ramionach przed niebiosą wznieść pragnął*).

DRUGI WĘDROWIEC. Jasno tu... dziwnie jasno, i choć na niebie mrok trwa nieporuszony, ziemia jakimś tajemnie z niej idącym blaskiem świętecznie promienieje.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A góry w dal odeszły, po raz pierwszy od czasu gdy my wśród nich błądzimy ze wszech stron zamknięci. Dalekie ich tłoczące, nieprzeniknione gromady... i piękne one teraz, nową nieznaną pięknością, gdy wśród nich będąc, trwogę zawsze czułem, niezwykłą trwogę, do ucieczki kuszącą.

DRUGI WĘDROWIEC. Straszne mi były te głębiny nad które wiodły nas góry.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Głębiny, które zazdrośnie tajemnic swoich strzegły.

DRUGI WĘDROWIEC. (*Potakuje milcząc*).

PIERWSZY WĘDROWIEC. A tu pole... i ziemia. Miękka, strudzone stopy łagodnie pieszcząca ziemia. I zapach... skąd ten zapach, kwiatów nie widać nigdzie!

DRUGI WĘDROWIEC. Pachnie ziemią i wodą.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Nie, nie... pamiętam dobrze ten cudny, słodki zapach, w ledwo uchwytnym wspomnieniu najwcześniejszego dzieciństwa.

DRUGI WĘDROWIEC. Kwiaty rosną pod krzyżem, drobne i nikłe kwiaty, że

nawet moim oczom zrazu dostrzedz je trudno. Blade są niby z wosku, jako te którym nigdy nie przyświecało słońce, podobne widziałem ongi.

PIERWSZY WĘDROWIEC. (*Zatrzymawszy się koło mogiły*). Pod tym krzyżem spoczniemy, teraz się nam należy choćby chwilowe wytchnienie.

DRUGI WĘDROWIEC. Nie przyszedł jeszcze czas! Miara trudów naszych nie wypełniona — wszak wiesz.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Szczyt już niejeden przeszliśmy skalisty, i otchłań niejedna rozwarła się nam grożąca. Nieprzebyte granity, niedostępnością zbrojne, zagradzały drogę, a jednak szliśmy wśród największego mroku, znacząc z mozołem ślady nasze w głazach, dla tych co po nas kiedyś może przyjdą.

DRUGI WĘDROWIEC. Czyliś przepomniał, co wtedy rzekł ów starzec, w chwili gdy słońca gaś ostatni promień?

PIERWSZY WĘDROWIEC. Ów co był jak ten posąg niczem nieporuszony, lecz choć go chłostał deszcz i wiatr smagał, on stał cichy a mroczny, niby w drzewie rzezany

i tylko srebrne włosy do pasa spływające, jaśniały niesamowicie wśród zaległej nocy. Pamiętam! Lecz on był niemy. I to co z pomocą znaków nam wskazać usiłował...

DRUGI WĘDROWIEC. Ten znak jego był dla mnie równie jasny jak słowa. (*Rękę przesuwając po czole*). A może mnie się tak zdało, i wszystko co myśl moja z tych wspomnień rzekomo żywi...

(*Pewien czas idą w milczeniu, lecz bardziej ociężałym, jakimś wlokącym się krokiem. Jasność, tajemnie z ziemi promieniująca, zgasła, stłumiona mgłami, snującymi się naksztalt widmowych postaci. Pole łagodnie wznosi się ku pagórkowi, kędy wstąpiwszy wędrowcy ujrzą naraz, skalami ze wszech stron otoczony, niewielki szmat nigdy nietkniętej niwy, którą pacholę małe ze szkapą w sochę wprzeżoną, krokami drobnymi pracowicie przemierza, ziemi równą skibę za sobą zostawiając. Wędrowcy zatrzymują się i patrzą chwilę*).

PACHOLE. (*W zgrzebny łachman ubrane, bose, na plecach torebka parciana, twarz bezbarwna w szarość ziemistą obleczona, oczy, w których świat zewnętrzny jakby się nie*

odbijał nigdy, w bezdenną głębię na wieki zapatrzone. Mówi jednostajnym głosem ze spokojem nigdy nie zmęczonej, znużonej obojętności. Ujrzawszy podróżnych przystaje, i rzuciwszy okiem, powoli jak poprzednio, postępuje naprzód, ciągnąc za sobą skibę czarnej ziemi).

PIERWSZY WĘDROWIEC. (Ostrożnie, niepewny czy nie spłoszy widzenia). Co ty tu robisz chłopcze?

PACHOLE. Widzicie, niwę orzę. A wy co — że pytacie?

PIERWSZY WĘDROWIEC. Podróżni, idziemy światem. Może ty powiesz, jak nam wyjść na drogę.

PACHOLE. Przed siebie, hen — przed siebie, innej tu niema drogi. Brat poszedł także przed siebie.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Brat twój — to ty masz brata!

PACHOLE. Nas tylko dwoje, brat mój i ja.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A nie chciałbyś iść z nami? Pójdziemy daleko, może brata spotkamy.

PACHOLE. (Gestem wskazując stronę od której szli podróżni). Brat poszedł tam... skąd wy.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I jego ślad był może na tej górze, gdzie tyle innych splątało się z naszymi! Więc ty czekasz brata?

PACHOLE. Brat poszedł ziarna szukać, żeby zasiać niwę, a ja orzę, brat kazał.

PIERWSZY WĘDROWIEC. A jeśli on nie wróci?

PACHOLE. Brat szybko chodzi i daleko widzi, jego nikt nie zmoże, on najmocniejszy.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I nie boisz się sam?

PACHOLE. Ja nie jestem sam... (*Zastanawiający się, jakby nieco zdziwione*). Ja nie wiem.

PIERWSZY WĘDROWIEC. Gdzież jest twój dom, masz ty jakie schronienie?

PACHOLE. Nie wiem... wszędzie gdzie ziemia.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I może nie wiesz nawet jak się nazywasz.

PACHOLE. Czy kto zapyta jak ja się nazywałem?... Ja orzę.

PIERWSZY WĘDROWIEC. I ty tu także nigdy nie widzisz słońca?

PACHOLE. Słońce przyjdzie, niech ino niwę zasieję, a słońce przyjdzie.

(Mgły smugami rozsnute, coraz się zgęszczają, zlewając się w jedną nieprzejrzaną zasłonę, pod którą wszystko ginie. W tejże chwili obłoki, przez pół góry opasujące, rozjaśniają się blaskiem z dali idących promieni, gdy skłony poniżej, oraz szczyty pozostają jednakowo ciemne i posępne. A kiedy mgły ustępują, pełznąc od ziemi wwyż, widać idących swym wolnym krokiem podróżnych, tylko z wyrazem jeszcze większego znużenia, zwłaszcza pierwszy, jakby się ugiął pod uciskiem przerastającego siły brzemienia, choć nawet sakw już nie ma, tylko torebkę parcianą, przez ramię przewieszoną, jak ją poprzednio miał chłopiec).

PIERWSZY WĘDROWIEC. Siły moje do cna się wyczerpały, a myślałem przez mgnienie, gdym orzaczemu chłopczynie sakwy z ziarnem oddawał, że ulgi jakowej doznam, lecz ta odrobina, którą zatrzymać tyś radził, ciąży mi bardziej niż wszystko co dotąd w mojem życiu dźwigałem.

(Wędrowcy idą, coraz trudniej i wolniej. Skąły dotychczas dokółta rozproszone, zdają

się skupiać w zawarte ściśle kolisko, wyjście z którego dziwnie zamaskowane glazami, tak, że wędrowcy, idący przed się nie patrząc, nagle przystają, jakby zewsząd zamknięci).

DRUGI WĘDROWIEC. (Z bezradnem spojrzeniem dokoła). Dokąd się zwrócić? Teraz i ja nic nie wiem.

PIERWSZY WĘDROWIEC. (Osuwa się na ziemię u stóp samotnie obok stojącej skały, oparłszy się o nią plecami, trwa bez ruchu, na wszystko zobojętniały).

DRUGI WĘDROWIEC. (Jeszcze się rozglądając, niby szukający). Sił już nam obu braknie, a ziarnośmy oddali, tylko ta mała garstka pozostała

PIERWSZY WĘDROWIEC. I ona cięży, (zdejmując torebkę, którą składa na ziemi) cięży nie do zniesienia. (Przemyka oczy nieskończenie znużony i zdaje się usypiać).

DRUGI WĘDROWIEC. (Usiada opodal na glazie, i pochyliwszy głowę, głęboko w myślach zatopiony, kijem, który wziął z rąk towarzysza, na ziemi znaki jakoweś kreślić usiłuje).

(Mrok nieznacznie się rozjaśnia, zaś równoległymi łańcuchy idące góry, dotychczas

posępne i jednobarwne, stają się z jednej strony jasno niebieskie lub lazurowe, z przeciwległej — ciemno fioletowe, aksamitne, gdy te najdalsze, tłem dla poprzednich będące, śniegami bieleją, niby rzeźby misterne, na ciemnem jeszcze niebie).

PIERWSZY WĘDRÓWIEC. *(Nie otwierając oczu, gestem wskazuje rozjaśniające się góry, i mówi jakby w półśnie). A tam jak-gdyby wrota szeroko się otwarły — droga jedyna, skroś cały świat idąca. Zaś po obu jej stronach łąki co pachną miodem i cicha, srebrna, ledwo szemrzająca woda...*

DRUGI WĘDRÓWIEC. Tak bywało dawniej...

PIERWSZY WĘDRÓWIEC. Ja patrzę przed siebie.

DRUGI WĘDRÓWIEC. Czyliżby mój wzrok zwykłą swą moc utracił, że nie dostrzegam nic. *(Podnosi głowę, i przystłoniwszy oczy dłonią, patrzy przez chwilę z widocznem wytężeniem, poczem z głową opadłą na piersi, powraca do swego zdętwiałego zamyślenia, znowuż jakieś znaki kreślić usiłując. Wśród martwej ciszy odzywa się w pobliżu słabe, i niewyraźne świergolenie ptasie).*

PIERWSZY WĘDROWIEC. *(Jakby dalej ciągnął opowiadanie). Łąki zapach miodowy i szczebiotanie ptaszące... tak dawno przez nas nie słyszane, tak dawno.*

DRUGI WĘDROWIEC. *A ziarna, mówisz, garść jedna pozostała, tyle co konieczne by raz ostatni pokrzepić nasze siły.*

(Świegot ptasi powtarza się, wyraźniejszy i bliższy, a po chwili dwie małe szare ptaszyny wylatują z poza skały na ziemię).

PIERWSZY WĘDROWIEC. *(Dziecięco dobrotliwie, ze słabym uśmiechem). Biedne ptaszyny... jako my zabłąkane. Szukają... szukają niestrudzenie. (Oslabłym ruchem, ledwo unosząc rękę, dosięga obok leżącej torebki i rozrzucając ziarno dokoła). To dla was... dla was wszystko... i jeszcze... kiedy nas nie stanie... (Po chwili, oddychając z trudem, jakby po dokonanym wysiłku). A teraz ostatniego zbyłem już ciężaru.*

DRUGI WĘDROWIEC. *(Trwający nieporuszenie, nagle jak zbudzony ze snu). Rzekłeś co? (Ujrzawszy towarzysza rzu-*

rzucającego ziarno ptakom, wyciąga rękę, chcąc go powstrzymać, ale nie powiedziawszy nic, bezsilnie opuszcza dłoń i wraca ku poprzedniemu zamysleniu, w bezruchu zupełnym kamieniejąc. Z ponad gór dalekich wystrzela pierwszy promień jeszcze niewidzialnego słońca, i jasną smugą przeciąwszy ciemności, znaczy najwynioslejsze szczyty, złotym przedblaskiem ledwo budzącej się zorzy).

PIERWSZY WĘDROWIEC. (Gdy twarz jego, choć będąca w mroku, rozpromienia się jakimś z wewnątrz lącym światłem, ze spokojnym zachwytem tym razem nie mogącego zawieść oczekiwania). Świt!
(Po chwili cicho, z nieopisanej błogości uśmiechem). Zaś nad ową niwą, tych dwie ptaszyny, którym ostatnie myśmy oddali ziarno, będą śpiewały ptaszęcą swą piosenkę... Będą śpiewały.. (Ostatnie słowa mówi słabym szeptem zamierającego już zupełnie głosu, poczem głowa ciężko opada na piersi i pozostaje nieruchomy. Mrok ostatecznie ustępuje, rozsnuwając się niby zwiotczała zasłona, rozjaśnioną dalą pochłoniętą, a w blasku jej coraz rosnącym zapalają się

*szczyty górskie i płoną jak pochodnie po
obu stronach zamkniętej gór łańcuchami
drogi, skroś cały świat wiodącej, kędy rozgo-
rzał świt).*

KONIEC.

Jalta
1916 rok
w Maju.

